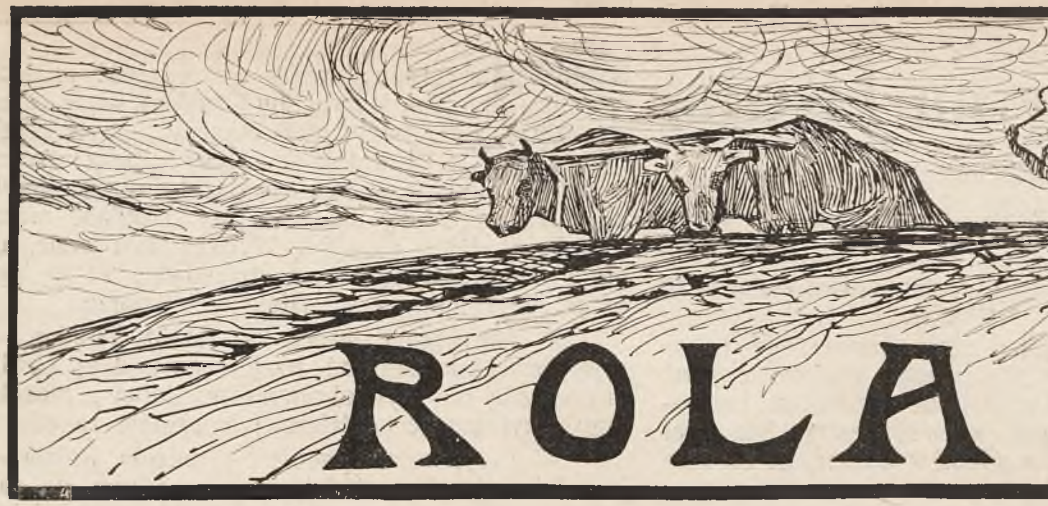


ROLA

ROK IV.
Kraków, dn. 10 Kwietnia 1910 r.
Nr. 15.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki **2 dolary**, — do Niemiec **6 koron**. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli“, Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Numer pojedynczy 10 halerzy.

Kometa i koniec świata.

Za kilka dni, bo około 15 kwietnia będzie można widzieć na niebie gołem okiem przed wschodem słońca gwiazdę zupełnie odmienną od gwiazd innych, czyli tak zwaną kometę.

Cóż to jest kometa?

Jest to nic innego, tylko ciało niebieskie, jak i inne gwiazdy, okrążające słońce, ale po drogach bardziej zawiłych. Budowy komet nie poznano jeszcze całkiem dokładnie. Wyglądają one jak gwiazdy, mniej lub więcej jasne, otoczone bladym obłoczkiem, z którego czasem wystrzela jakoby rózga świecąca, nieraz olbrzymiej długości. Tylko niektóre komety można dostrzedz gołem okiem, inne widać tylko przez szkła powiększające, czyli tak zwane lunety.

Kometa, który tego roku będzie widziany, nazywa się kometą Halleya od nazwiska badacza gwiazd czyli astronoma Halleya, który pierwszy oznaczył bieg tej gwiazdy, a który umarł w 1742 r.

Zazwyczaj komety zjawiają się prawie że niespodziewanie i tylko przez pewien czas uczeni astronomowie potrafią określić ich dalszy bieg. Z kometą Halleya rzecz ma się o tyle inaczej, ze uczeni od 75 lat określili najdokładniej drogę, którą ma przebiegać i gdzie mamy szukać tego zjawiska na niebie.

Otóż według tych obliczeń gwiazda ta w roku 1907 była od nas 9 razy dalej aniżeli słońce, a we wrześniu roku zeszłego można ją było już dojrzeć zapomocą szkieł powiększających w miejscu ściśle oznaczonem.

Obecnie, jak to już powiedzieliśmy, kometa zbliża się do nas coraz bardziej i z każdym dniem będzie ją można lepiej widzieć gołem okiem, ale tylko przed wschodem słońca, gdyż, znajdując się zbyt blisko słońca, będzie w blaskach jego promieni prawie że niewidoczna. Codziennie jednak będzie bliżej ziemi, tak że w nocy z 18 na 19 maja przebiegnie, jakby w szalonym rzucie, pomiędzy słońcem a ziemią. Sama gwiazda, według obliczeń uczonych, będzie odległa od ziemi i tak zbyt daleko, aby jej mogła zaszkodzić, gdyż odległość będzie wynosić 23 miliony kilometrów.

„Ogon“ zaś, według tych obliczeń, będzie sięgał do tej linii, którą przechodzi ziemia właśnie w tym samym czasie. Ale jak to znów wiadomo „ogon“ ten jest to materya lotna, która żadnej szkody ziemi zrobić nie może, a nawet wątpliwą jest rzeczą, czy go zauważymy.

Najdokładniej i najlepiej będziemy mogli widzieć kometę Halleya prawdopodobnie mniej więcej w dniu 25 maja i to już po zachodzie słońca, o ile na to pogoda pozwoli.

Zapowiedziany dzień przejścia komety pomiędzy słońcem a ziemią poruszył już wiele umysłów i niejeden bojaźliwszego ducha z trwogą oczekuje ukazania się „strasznego“ zjawiska. Są tacy, którzy straszą tych bojaźliwych, że kometa zniszczy w przelocie swym ogonem niepoprawny świat.

Ale są to tylko strachy na lachy, a powtarzają się one od tysiąca lat, a mimo to świat jak istniał, tak istnieje i istniał będzie, dokąd się Bogu spodoba, bo to tylko od Jego woli zależy.

Ludzie nie wiedzieli jednak i dotychczas nie wszyscy wiedzą, że komety, widzialne gołem okiem, stanowią zaledwie dwudziestą część wszystkich komet. Gdyby każda miała wywierać na ziemię swój wpływ, nie byłoby niemal dnia bez klęski, a gdyby koniec świata miał zależeć od spotkania się ziemi z kometą, nie byłoby roku spokojnego.

Możemy więc spać spokojnie i nie obawiać się niczego, lecz ponadto należy uspakajać łatwowiernych, aby się niczego nie obawiali. Wprawdzie religia nas uczy, że kiedy będzie koniec świata, to dnia owego ani godziny nikt nie wie, ani nawet aniołowie niebiescy, ale z drugiej strony wiemy i to, że przed końcem świata będzie jeden Pasterz i jedna owczarnia.

A jakże dzisiaj daleko do tego!

Jak świat szeroki wszędzie wrą walki społeczne i polityczne; wszędzie podniecają umysły walki narodowościowe. A choćbyśmy pominęli i to, musimy jednak zwrócić uwagę na religię różnych ludów.

Ileż to jest wyznań rozmaitych na tej kuli ziemskiej?!

Widzimy więc jasno, że do tego, aby był jeden Pasterz i jedna owczarnia jeszcze dość daleko, a temsamem i o końcu świata jeszcze mówić i myśleć zawcześnie.

Krzyżacy na Litwie.

XVIII. ZNIWECZONA ZASADZKA.

W chacie wieśniaka. — Powitanie ze Sławeńką. — Droga do Kiernowa. — Szyszak w lesie. — Napad krzyżacki. — Trojdan walczy w obronie. — Sławeńko zbawcą. — Jak się Kontur usprawiedliwiał. — Zasłużona kara. — Przybycie do Kiernowa.

Jakkolwiek Trojdan niespodzianie był napadnięty, jednak byłby się pewnie nie dał pojmać tak łatwo, gdyby go więcej nie obchodził los towarzyszek, niż wolność własnej osoby. Nie znał prócz tego wojaków, a wiedział dobrze, że zbrojny w czasie wojennym opór zawsze sprawę pogarsza, wolał tedy uledz konieczności, tem się ciesząc przynajmniej, że znaki żołnierzów nie były znakami krzyżaka, i szedł spokojnie do chatki, która stała o kilkaset kroków.

Wchodził tedy zmartwiony ofiarnik do izby, złorzecząc w duchu nieszczęsnej godzinie, która go w ten gaj zawiodła, gdy stawiony przed starszym z wielką radością poznał w nim Sławeńkę, owego dworzanina Trockiego, którego tak źle przyjęto w Wilnie z darami Kiejstuta. Powitał go czule Sławeńko i zgromiwszy za pomyłkę żołnierzy, pytał o nowiny wileńskie. Nie potrzebował już dłużej Trojdan ukrywać swojej ucieczki, ani osób, którym towarzyszył, mówił bez obawy i o klęskach Wilna i o dziwnej swojej podróży.

Łatwo sobie wystawić, jak wielka musiała być radość Sławeńki, gdy się dowiedział, że Pojata, ta Pojata, o którą tak był troskliwy, o kilka kroków w bezbieczeństwie się znajduje. Pobiegł do niej natychmiast z Trojdanem.

Dość już wysoko wzniesiony promień słoneczny obudził podróżne. Sławeńko, zbliżywszy się do zdziwionych niewiast, składał hołd uszanowania, uwiadamiając, że w tem miejscu jest postawiony na straży i przychodzi pytać je o rozkazy. Miłe było to spotkanie Pojacie, dziękowała mu za pamięć, ale Aksena, chociaż równie wdzięczna, nie mogła w obecnych okolicznościach z radością go widzieć.

— Czy wolno mi wiedzieć — pytała go smutno — jaki los spotkał moją matkę, brata i co się stało z moim nieszczęśliwym mężem?

— Uspokój się, pani — odpowiedział młodzieniec — wiem, że książę kazał ich życie i własność szanować, pewny jestem, że zadość się stało jego rozkazom.

— Ale jakimże się to stało sposobem — zapytała Pojata — że cię tu postawiono na straży, Sławeńko?

— Kiedy już stanął w Trokach okrutny wyrok napadu i wozy zdradliwe ruszyły do Wilna, jakże cierpiałem, że mi nie wolno było choć jedną chwilę stanąć tam naprzód, żebym was, panie, mógł przestrzedz! Bogowie pozazdrościli mi tego szczęścia, wprawiono mnie w podejrzenie u księcia, i pod pozorem czaty, to mi miejsce przeznaczono na stanowisko.

— Gorzej byłoby — rzekła Aksena — gdyby tu jakiego nieużytego postawiono człowieka, możebyśmy mysiały obciążone więzami wracać do Wilna.

— Ach! żebyś wiedział — mówiła Pojata — jaka to straszna godzina była dla naszej stolicy! Największa część mieszkańców dolnego zamku i bliższych domów, w opiece bogów pokładając nadzieję, w świątyni szukała schronienia. Ale bezbożny żołnierz mało uważał na świętość miejsca. Już nie pamiętam, jak się tam dostałam, wiem tylko, iż znalazłszy się nagle obok Akseny, jej się ciągle trzymałam. Co za widok straszliwy! Znicz rozrzucony, jęk rannych, wrzask niewiast, okrutne okrzyki zwycięzców! Gdyby nie troskliwy Trojdan, możebyśmy już dotąd nie żyły. Wycierpiałam wiele, ale nigdy nie przestanę bogom dziękować, że się mój ojciec nie znajdował w Wilnie w tej porze.

— Nie wiemy jeszcze — rzekł Trojdan — czyli raczej nie żałować trzeba, że pod tę chwilę nieszczęsną nie był obecnym w stolicy, możeby jego przytomność najdzielniej hamowała zapędy.

— Przypominam sobie — mówiła Pojata — iż żołnierz jakiś w świątyni, przypadłszy do nas, zaklinał, abyśmy się mu powierzyły, zapewniając, że ma rozkaz od wyższej władzy uwieźć nas bezpiecznie. Bogowie wiedzą, jakie były jego zamiary! Barwę miał podobną do twojej, zdał się szczerze mówić, ale sam przyznasz, że przestraszone nie mogłyśmy mu zaufać, tembardziej, iż nie chciał mówić, kto go przysyła. Radabym wiedziała, czy wdzięczność, czy wzgardę jemu winniśmy.

Sławeńko, zbywając to pytanie milczeniem, zapraszał strudzonych do chatki na wiejskie śniadanie. Chętnie wezwanie przyjętem zostało. Tymczasem wieśniak, rozmawiając z Trojdanem tłómaczył mu obszerność gaju, uwiadamiał przytem, że od lat niepamiętnych poświęcony jest Perkunowi i dostarcza drewek na ołtarz Znicza.

Wszedłszy do porządnej izdebki, Pojata przyjemnie zdziwioną została, poznawszy tam tego samego żołnierza, który jej w świątyni ofiarował ratunek. Domyśliła się zaraz, komu była tę troskliwość winna i tkliwem spojrzeniem tłómaczyła Sławeńkowi swą wdzięczność. Aksena dziękowała mu także.

Tymczasem gospodyni domu, żona dozorcy, zajęła się przgotowaniem śniadania. Zastawiono stół lipowy ciepłem mlekiem, masłem, jajami i prażonym grochem. Zaledwie podróżni do posilania się wzięli, gdy na dźwięk statków i naczyń stołowych wyłazić zaczęły z nór swoich karmne węże i czołgając się poważnie, gromadziły się około stołu. Byłaby to osobliwość niebardzo przyjemna dla cudzoziemca, nieobeznanego z narodowymi zwyczajami, ale nasi podróżni, wiedząc dobrze, że węże, Giwojtos zwane, na cześć Potrymba, boga pierwszych potrzeb, w każdym domu pobożnym starannie są pielęgnowane, i że ich liczba i dobry byt jest miarą gospodarza bogobojności, nie okazali ani podziwienia, ani odrazy. I owszem, oswojone węże wczołgawszy się na stół, zazierając do mis i czarek, chwytały bezkarnie przed gośćmi posiłek. Dozorca, patrząc z upodobaniem na czołgający się swój dobytek, okazywał, przybyłym, który jest roczniakiem, dwuroczniakiem i tak dalej. Dziwiła Trojdana śmiałość Pojaty, która z niemi pieszcząc się, ręką je własną karmiła i pochwaliła gospodyni staranność, że je w tak dobrym utrzymuje stanie. Musiał i Trojdan, naśladując innych, zadać się z gadem cokolwiek, szczęściem dla niego, że Giwojty, wkrótce najadłszy się, pełzały w swe legowiska pod piec, ławy i kąty.

— Czy daleko ztąd do Kiernowa? — zapytała Pojata.

— Jak teraz dzień długi — odezwał się wieśniak — wyszedłszy z południa, można bezpiecznie stanąć tam na noc.

— Czy do Kiernowa dostać sie chcecie? — zapytał Sławeńko!

— Tak jest, do mego ojca — odpowiedziała Pojata. — On tam pewnie o nas niespokojny i nam też przy nim będzie bezpieczniej, tylko to najgorzej, że drogi nie wiemy!

— Ja wam, panie, jeśli pozwolicie, będę przewodnikiem — mówił dalej Sławeńko.

— Jeszcze dobre dwie mile macie przed sobą — dodał dozorca. — Jabym radził jechać, bo co jazda, to nie piechota. Dwie tu mamy drogi do Kiernowa: Jedna brzegiem Wilii, druga przez lasy. Kto się lasem puszcza zapewne prędzej stanie, ale trzeba, żeby znał drogę, bo mylna, a pełna dzikiego zwierza, a brzegiem zaś idąc, trochę się nakłada, ale za to zbłądzić nie można i nie ma się czego obawiać.

— Więc brzegiem rzeki pójdziemy — rzekła Aksena — ja wcale zmordowaną nie jestem, prócz tego dzień niegorący.

— I ja dwie mile przebiegnę — dodała Pojata — lubię podróż piechotną.

— Czy pójdziecie, przezacne panie, czyli pojedziecie, to wszystko mniejsza — rzekł wieśniak — ale na to najbardziej trzeba pamiętać, że wasze suknie bogate wydać was mogą z daleka. Radzę wam zatem zdjąć te świecące kaftany, a wziąć tymczasem na siebie prostą jaką odzież.

Już słońce było z południa, gdy zebrani podróżni zabierali się w drogę. Sławeńko, nie chcąc ich zatrzymać dłużej, żegnał żalem przejęty, a gdy się oddalili, zawołał o konia i tłumiąc tęskne uczucie, smutny w las się zapuścił.

Tymczasem podróżni, trzymając się zawsze kierunku rzeki, po drobnych kamykach sporym szli krokiem. — Widok pięknej natury wśród pogodnego dnia wiosny z całym urokiem przemawiał do duszy młodych wędrowników. Pojata, chociaż tak często w Wilnie bywała, nie znała wcale tej drogi, bo jej ojciec zwykł jeździć wielkim gościńcem; odtąd układała nie inaczej jak tym traktem podróż zawsze odbywać, a na popas do dozorcy gaju zajeżdżać. Czuła życzliwem sercem boleść Akseny, cieszyła ją w smutku, ale zbliżając się do lubego Kiernowa, oprzeć się nie mogła słodkiej radości, jaką ją przejmowała nadzieja uściskania długo niewidzianego ojca. Tymczasem wszystko, co ją otaczało, wzbudzało w niej wesołe uczucia; od niewłaściwego jej stroju, aż do czystych nieba obłoków, wszystko było źródłem jej szczęścia i uradowania.

Trojdan, chociaż w położeniu swojem nie mógł być wolnym troski, ani zapomniał o tem, co myśli jego było ciągłem zajęciem, nigdy jednak od wejścia swego do świątyni nie czuł tak przyjemnie bytu swojego. Serce jego, rozrzewnione tylu jej darami, z lubością przyjmowało niewinne wrażenia. Prócz tego i jemu do Kiernowa miła przodkowała nadzieja; wiedział dobrze, że pożądanym będzie tam gościem i że lepiej da się poznać naczelnikowi wiary, którego względy tak wysoko cenił.

Już dobrze uszli półtorej mili, gdy strudzona Aksena wypocznienie radziła. Pierwsze to ich było w tym nowym pochodzie wytchnięcie. Usiedli pod lasem na spadzistym brzegu, którego dzikie położenienie weseliła z drugiej strony przestrzeń, ożywiona w kłos wynikłem zbożem. Pojata, nie czując wcale potrzeby spoczynku, zwyczajem swoim z tyłu między drzewami błądziła, gdy nagle przybiegłszy strwożona, zawiadomiła, że w lesie spostrzegła błyszczący szyszak,*) który mignął przed jej oczyma i znikł w gęstwinie. — Trojdan, aby rzecz sprawdzić, postąpił w las, szedł nim kawał znaczny; lecz nic podobnego nie widząc, wrócił z zapewnieniem, że to tylko było przywidzenie. Aksena przestrzeżona, iż ta część kraju zajęta jest przez nieprzyjaciela, do tego w każdym uzbrojonym człowieku widząca tylko Żmudzina, nie chciała przedłużać spoczynku, tembardziej, że chwila wieczorna nie radziła spóźnienia pochodu. Ruszyli tedy z miejsca, idąc spieszniejszym krokiem.

Żadne odtąd zjawienie nie zdało się potwierdzać spostrzeżeń Pojaty; ale ledwo ćwierć mili uszli, Aksena przechodząc mimo leszczyny, usłyszała chrzęst zbroi i tentent rumaka, który tęgim kłusem mimo niej przebiegłszy, znikł w gęstwinie. Pojata zaś wyraźnie ujrzała pióra od szyszaka. Już tedy to powtórne zjawisko nie zostawiło żadnej wątpliwości, iż zbrojny człek jakiś znajduje się w lesie i ciągle ma ich na oku. Pojata, świeżem niebezpieczeństwem strwożona, lękać się tem bardziej zaczęłą, że Aksena nie umiała ukryć pomieszania swego, lubo Trojdan nie przestawał przekładać, iż ujrzany wojskowy, goniący pewnie za zwierzem, lub z jednego na drugie stanowisko spieszący, bynajmniej o napaści nie myślał.

— Idźmy — mówił spokojnie — jakeśmy szli dotąd, nasz ubiór jest nam najlepszą zasłoną. Jeszcze kilkaset kroków, las się ten kończy, widzę pole otwarte, przez które droga przechodzi, skoro się raz dostaniemy, znikną te wszystkie postrachy.

Gdy to mówił, dwaj zbrojni jeźdźcy, z których jeden zdał się łup jakiś unosić, jak gdyby chcieli umyślnie przeciąć drogę podróżnym, pędem z lasu pobiegłszy, znikli w krzakach, do których właśnie prowadziła droga. Sztuki te i obroty zaczęty nareszcie i Trojdana niespokojnym czynić. Spostrzegłszy to, podróżne stanęły jak wryte, niepewne, czy zostać mają na miejscu, czyli w las napowrót uchodzić. Aksena miała wprawdzie oręż, którym się podpierała, ale jej ręka raniona niewiele czyniła nadziei obrony; daleko więcej Trojdan w swym kordzie pokładał ufności, — Proszę tylko śmiało iść za mną — mówił do towarzyszek. Ci ludzie, pewny jestem, żadnych złych zamiarów nie mają; cokolwiek bądź, chciejcie wiedzieć, że trwoga i niepewność kroku w podejrzenie podając, najprędzej ośmielają złoczyńców. Patrzcie, oto na brzegu tych łóz wieśniak jakiś spoczywa, chodźmy ku niemu.

Aksena, w rzeczy samej spostrzegłszy wieśniaka, śmielszym idąc krokiem, zmierzała do niego, Pojata szła za nią. — Im bardziej się ku niemu zbliżano, tem z większem zajęciem poglądał on na podróżnych, a gdy Pojata, wyprzedziwszy Aksenę, odezwała się, prosząc o przeprowadzenie do najbliższej wioski, wieśniak porwawszy się na nogi, świsnął przeraźliwie i wpół Pojatę uchwycił. Natychmiast z zarośli wyskoczył ukryty Krzyżak i z orężem w ręku usiłował oddalić od wieśniaka Trojdana, który się był rzucił na obronę dziewicy. Przestrach jej nagle w rozpacz się zamienił, gdy w Krzyżaku poznała kuntora Sundsteina. Trojdan dzielnie na niego uderzył, zaklinając Aksenę, aby pomoc dawała Pojacie, a chociaż Krzyżak był zbroją okryty, umiał młodzieniec tak dobrze zażyć oręża, że wytrąciwszy miecz przeciwnikowi, wkrótce go do ucieczki zmusił i mimo rany, którą w ramię odebrał, odegnawszy kuntora, spieszył na pomoc Aksenie.

Nieszęśliwa Pojata, uporczywie przez wieśniaka trzymana, wołała z całej siły ratunku, a gdy na niego Trojdan miał natrzeć, wypadają z zarośli dwaj rycerze przed chwilą widziani, jeden z nich puszcza

*) Żelazny hełm rycerski.

się za kuntorem, drugi pomaga Trojdanowi i tak silnie na wieśniaka naciera, że ten opuściwszy dziewicę, zmordowany walką i obciążony ukrytą pod siermięgą zbroją, nie mogąc uchodzić, musiał się poddać.

Rycerz dognawszy kuntora, który nie miał czasu dopaść konia, prowadził go na miejsce, gdzie się znajdowali wszyscy. Wielka musiała być radość Pojaty, gdy tak cudownie ujrzała się oswobodzoną z rąk człowieka, którego w życiu najbardziej się lękała; ale nierównie bardziej ucieszyła się, gdy spostrzegła, że uwolnienie swoje była winną Sławeńce. Jakkolwiek męztwo Trojdana prawie się najwięcej przyczyniło do odniesionego zwycięztwa, jednak iż to było dokonane przez uzbrojonego Sławeńkę, jemu więc nasz ofiarnik odstąpił prawa zwycięzcy i wolność rządzenia jeńcami, których Sławeńko rozbrajając, temi się do kuntora odezwał słowy:

— Bezwstydny! też są dzieła, które ci twój zakon czynić zaleca? Napadać podróżnych, zasadzki czynić na osoby, którym obronę i cześć najwyższą winieneś? Mów mi naprzód, zkąd wiedziałeś iż te szanowne panie tędy miały przechodzić? Od szczerości wyznania życie twe zależy.

— Wszystko ci wyznam najszczerzej — mówił upokorzony kuntor — racz tylko mieć wzgląd na mój stan i nie rozgłaszaj tego przypadku. Byłem pewny, że w czasie zaburzenia w Wilnie będę miał szczęście ratować Pojatę i tem samem zasłużę sobie na jej przychylność; lecz gdy nie mogłem jej doczekać się na spodziewanem miejscu, udałem się do klasztoru uwiadomić przełożonego, iż już tej nocy nie przywiodę jej wcale. — Po długiem dobywaniu się do bramy, nie zastawszy w refektarzu, jak tylko jednego zakonnika, pytałem, gdzie jest przełożony? Długo uparty starzec nie chciał mi prawdy powiedzieć, lecz przyciśnięty sztyletem, wyznał nakoniec, że wyszedł z braciszkiem, prowadząc dwie jakieś niewiasty i pogańskiego kapłana, którzy uchodzili ze stolicy. Nietrudno mi było domyśleć się, że między niemi znajdowała się Pojata. Opis jej ubioru i postaci, uczyniony przez zakonnika, jeszcze mnie bardziej w tem mniemaniu utwierdził. Natychmiast więc, opuściwszy klasztor, udałem się z pocztowym w pogoń za niemi, ale nie wiedząc, którędy poszli, postanowiłem czekać na tem miejscu, gdzie leśna z pobrzeżną schodzi się droga. Przebrawszy sługę swego za wieśniaka, postawiłem go na straży; sam zaś część nocy i całe przedpołudnie przepędziłem w łożach ukryty. Los ziścił moje nadzieje, waleczność wasza wszystko zniszczyła!

— Ponieważ dość się szczerem być zdaje twoje wyznanie — mówił Sławeńko — daruję wam życie, ale zuchwałość ukarać muszę.

Pojata prosiła, aby zabrawszy oręż, puścił ich wolno; ale Sławeńko żadnym sposobem tak lekko nie chciał ich karcić. Nadto wiele w przekonaniu jego zawinił kuntor; nie mógł mu też zapomnieć, że zdradliwe wydanie listów poróżniło Kiejstuta z Jagiełłą; kazawszy tedy podać sobie dwa drągi sążniste, wsunął po jednemu przez rękawy każdego z Krzyżaków, a porobiwszy krajki z pięknego płaszcza kuntora, okręcił niemi mocno ręce koło drągów i tak obu rozkrzyżowanych zawiesił między gałęzie dwóch dębów.

— Czekajcie — mówił, aż kto się zlituje nad wami, a patrząc tymczasem na siebie, rozpamiętywajcie swe grzechy. Spodziewam się, iż wam nie trzeba mówić abyście darmo nie wołali ratunku. Noc blizka, las pełen niedźwiedzi.

Pojata niezmiernie troszczyła się o ranę Trojdana, ale daremne jej były obawy; cięcie pałasza przez ramię, dla grubości wełnianej odzieży, nie mogło być szkodliwem i przy opatrzeniu pozwalało mu kończyć drogę. Sławeńko prosił podróżne, aby teraz przynajmniej siąść na jego konie raczyły, na co się długo namawiać nie dały; sam zaś dosiadłszy z Trojdanem konia po kuntorze, na drugim z zabranym rysztunkiem krzyżackim kazał towarzyszowi jechać za sobą.

— Jesteś nieoszacowany, Sławeńko — mówiła czule Pojata — bez twojej pomocy bogowie wiedzą, do czegobym przyszła? Twoja troskliwość będzie mi całe życie przytomną.

— Ale teraz odwołujemy już zakaz — rzekła Aksena — prosimy nie wypuszczać nas ze swojej opieki.

— Owszem — dodała Pojata — prosimy z sobą aż do Kiernowa, żeby mój ojciec poznał zbawcę swej córki.

— Nie, Pojato! — rzekł Sławeńko — twój ojciec o tem niech nigdy nie wie. Odprowadzę cię aż do wrót Kiernowa, odprowadzę na dziedziniec do twego mieszkania, do twego progu świętego, ale u ojca twego nie będę. Prócz tego, moje chwile są policzone, może w tej porze zajdą jakie rozkazy zwierzchnicze; muszę ich oczekiwać.

Przykre było Pojacie to odmówienie; przedstawiała i niebezpieczeńswa nocnej podróży i smutek ojca, którego progu unika; lecz widząc, że przedsięwzięcie Sławeńki jest niecofnione, przestała żądać niepodobnej rzeczy.

Wkrótce podróżni stanęli przed zamkiem. Noc już była zupełna, gdy zatrzymawszy się na moście, wiodącym w bramę, zsiedli z koni, ponawiając zapewnienia wdzięczności. Dziewica jeszcze raz nieśmiało głos wzniosła, wzywajac Sławeńkę, ale on zamiast odpowiedzi, kazawszy towarzyszowi zabrać po Krzyżakach konie, smutny obracał napowrót, gdy nasi wygnańcy na dziedziniec zamkowy wchodzili.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DO CZYNU!

Hej! stopmy te lody raz z serca
I z duszy usuńmy raz szron!
Sam sobie ten będzie morderca,
Kto w czynu nie będzie bił dzwon.

Kto gnuśnieć chce w ciszy, spokoju,
Dla siebie samego ten kat...
Kto boi się trudu i znoju,
Ten nie nasz przyjaciel i brat!

Nie gnuśnieć w spokoju nam marnie,
Nie w lodu powłoce nam żyć,
Nie w ciszy, milczeniu, przenosić męczarnie,
Lecz w czynu donośny dzwon bić!

Do czynu!... do dzieła, do pracy mozolnej...
Na czele narodu, hej, biedz!
A w końcu na ziemi ojczystej, a wolnej,
Wśród swoich po pracy nam legz!

Antoni St. Bassara.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

Przez zaprowadzenie wiary chrześcijańskiej stworzył Mieczysław I podwaliny do ugruntowania państwa polskiego. Syn jego, Bolesław z przydomkiem Chrobry, panujący od 992 do 1025 r. dalej szerzył dzieło rozpoczęte przez ojca: krzewił wiarę chrześcijańską, rozszerzał granice Polski, Pobiwszy Pomorzan i przyłączywszy kraj ich do Polski, zwrócił się na południe, gdzie znów rozszerzył granice jej aż poza Kraków, zagarniając Chrobacyę Białą z Krakowem, Śląsk z Wrocławiem i ziemię Słowaków zakarpackich.

Z orężem swoim pospieszył do Kijowa, gdzie przy wjeździe uderzył w złotą bramę mieczem, który od tego czasu „Szczerbcem“ nazwano.

W rok przed śmiercią koronował się w Gnieźnie jako pierwszy król polski. Był to władca nadzwczaj dzielny i słusznie należy mu się tytuł założyciela Polski.

Po śmierci jego wstąpił na tron syn jego, Mieczysław II, człowiek słabego ducha, który nie mógł utrzymać świetności swego ojca, zwłaszcza, że kraj polski zaczęła trapić niezgoda, z której korzystali sąsiedzi i zabierali, co się dało. Zgnębiony i zrozpaczony Mieszko umarł po 9-cioletniem panowaniu.

Wdowa po nim, imieniem Ryksa, Niemka z rodu, kobieta zła i nieuczciwa, nocą pozabierała skarby polskie i potajemnie uciekła do Niemiec, zabrawszy ze sobą małego synka Kazimierza.

Polacy zadowoleni byli z ucieczki Ryksy, gdyż za jej bytności w Polsce Niemcy zajmowali najwyższe urzędy, a Polacy, chcąc nie chcąc, musieli ich we wszystkiem słuchać. Wobec tego Niemcy się bogacili, a Polacy ubożeli.

Przez sześć lat Polska została bez pana, wystawiona na zamieszki wewnętrzne i najazdy zewnętrzne.



Ryksa okrada skarbiec polski.

BABA SITNICA.

(Opowiadanie ludowe).

Na ciemnem tle borów, rysowała się szara baszta bieckiego grodu, wzniesionego na skalistem, stromem wzgórzu. Jakkolwiek gród ten ożywiał całą okolicę, nie ujmował przecież nic z tej pierwotnej dzikości. Czasem tylko, gdy z powodu przyjazdu jakich dostojnych gości do Biecza, zawrzało większe życie w grodzie, czuć było, że nad Ropą nie zaległ przecie step głuchy. Echo zwykłych, w szczupłem kole przedsiębranych wypraw myśliwskich z grodu, tonęło wśród borów bez końca.

Duszą myśliwskiego kółka w starym Bieczu był Mikołaj, junak nielada. Czy z oszczepem w ręku przyszło zagrodzić drogę niedźwiedziowi lub dzikowi, czy borykać się o śmierć lub życie z żubrem na Turzej górze, czy celną strzałą ubić w szybkim biegu lekkonogą sarnę lub trwożliwego jelenia, czy orła pod obłokami wyśledzić i trupem położyć, nikt nie mógł odważniej, lepiej, zręczniej zrobić tego, nad Mikołaja. Był to młody mężczyzna, wysoki, barczysty, muszkularny, ostrych, ale pięknych rysów twarzy, z jasnym zarostem W kołpaku łysym, z łukiem przez plecy przewieszonym, z mieczem ciężkim i nożem szerokim u pasa, przewiesiwszy miasto płaszcza skórę na ramieniu wyglądał na pana tych puszcz dzikich. Najulubieńszą rozrywką jego były łowy, a najwierniejszym sługą duży pies myśliwski, Grzmilas, który nie wahał się rzucić na niedźwiedzia, a pana swego nie odstępował nigdy na krok jeden.

Razu pewnego polował Mikołaj nad potokiem, który pod Bieczem z lewego brzegu uchodzi do Ropy, a posuwając się w górę wdłuż brzegów jego, uganiając za zwierzem na prawo i na lewo, zabłąkał się wśród borów. Nie zatrworzyło go to jednak bynajmniej, bo nieraz całymi tygodniami bawił wśród puszczy. To też, gdy zoczył dwie przecudne łanie, pasące się na łące leśnej, naciągnął cięciwę i rozważał nad tem tylko, jakby obiedwie ubić na miejscu.

Tymczasem spłoszyły się łanie i poczęły w las uciekać, a wtedy strzelec puścił za niemi psy swoje. Niestety, skoro tylko psy wpadły na trop świeży i poczęły go węszyć, przerażone, skomląc, wróciły po pana, a gdy ten rozkazem i kijem starał się zmusić je do posłuszeństwa uciekły od niego razem z nieodstępnym dotychczas Grzmilasem i zostawiły samego w kniei.

Mikołaj nie mógł pojąć, co to wszystko miało znaczyć, gdyż pierwszy raz dopiero zakończyła się tak niespodziewanie wycieczka myśliwska. To też skoro powrócił do towarzyszy, kierując się za głosem psów, opowiedział im ze zdziwieniem całą przygodę swoją.

Z pewnym niepokojem słuchali opowiadania tego starzy myśliwi, a wreszcie gdy skończył, objaśnili go, że był w pobliżu Baby Sitnicy, która mieszka pośród tych lasów na Babiej Górze, gdzie ma pałac zbudowany z siatki sitowej o siedmiu barwach, które się mienią, jak tęcza przy blasku słońca. Pałac ten stoi na siedmiu filarach także z sitowia, a każdy filar jest innej barwy i zawiera w sobie izdebki więzienne dla zaklętych dziewic, które Baba Sitnica mieści u siebie, a tylko czasem puszcza jako łanie na przechadzkę po borze. Niekiedy zaś wysyła Baba te łanie, aby zwabiły jakiego strzelca, którego następnie zjada. Dlatego to towarzysze przestrzegali Mikołaja, aby nie zapuszczał się w tamte knieje, bo już niejeden śmiałek przepłacił życiem ciekawość swoją, albo chętkę zdobyczy.

Ale niezwykłe to opowiadanie rozpaliło wyobraźnię młodego myśliwego do tego stopnia, że nie zwierzając się nikomu ze swoim szalonym zamiarem, postanowił bądź co bądź wyszukać pałac Baby Sitnicy, podziwiać jego wspaniałość, oglądać nieszczęśliwe niewolnice, a może, gdy się uda, wyrwać je z rąk przeklętej jędzy. Ufał sile swojej, swojemu strzałowi trafnemu, więc sądził, że wyjdzie obronną ręką ze wszystkich złych przygód, jakieby go tylko mogły spotkać.

Często we dnie i w nocy błąkał się po kniejach, pragnąc znowu zdybać łanie Baby Sitnicy albo trafić na jej siedzibę. Ale oprócz przygód myśliwskich nie znalazł tego, czego szukał.

Już zwątpił o prawdziwości opowiadań myśliwych starych, aż tu razu jednego, zapuściwszy się w las ciemny zanadto głęboko, ujrzał, jak wierny pies jego, Grzmilas, zwiesiwszy uszy, zwrócił się w tył bez szczekania i umknął z miejsca. Była to wskazówka oczywista, że się znajduje gdzieś w pobliżu pałacu Baby Sitnicy i że niebawem spotka się z łaniami, upragnionemi od dawna.

Więc puścił się sam dalej w knieję, aż zobaczył blizko dwie łanie, igrające pośród łąki, porosłej kwiatami prześlicznymi. Uradowany tem odkryciem, chciał je podejść cichaczem, lecz płoche łanie wnet go spostrzegły i poczęły umykać pod górę. Przytem jednak jedna stawała co kilkadziesiąt kroków i spoglądała na łowca, jakby go zapraszała za sobą i zarazem wskazywała mu drogę.

Myśliwy zapuszczał się za nią czem raz w większą puszczę, aż naraz stanął na miejscu osłoniętem. Wtedy powstał jakiś nadwyczajany pisk i wrzask i w jednej chwili otoczyły Mikołaja gady rozmaite i nie pozwoliły mu ani krokiem ruszyć się dalej. Jakiś gruby i długi wąż począł okręcać mu nogi, aby go spętać, a z drugiej znowu strony pojawiła się olbrzymia, szkaradna poczwara z paszczą otwartą, chcąc go żywcem połknąć całego. Widok tego potworu przeraził tak dalece młodego myśliwego, że pomimo swej odwagi krzyknął staszliwie i począł szamotać się, aby uciec. Na ten krzyk przybiegła wysoka, laskonoga, szkaradna starucha. Była to Baba Sitnica. Wiedziała ona o wszystkiem, ale mimo to zapytała z gniewem młodzieńca, po co przyszedł.

Mikołaj opowiedział jej prawdę całą, a wtedy Baba, uśmiechając się złośliwie, spytała go, czy ma szczerą chęć pojąć za żonę tę łanię, która go tak zainteresowała. Skoro jej powiedział, że kochać ją będzie całem sercem, kazała Sitnica ustąpić gadom, a odważnego łowca poprowadziła bliżej do swego pałacu. Tutaj pokazała mu cały przepych mieszkania i rozmaite przybory myśliwskie, poodbieranym podobnym, jak on, śmiałkom. Wreszcie przywołała łanie, wszystkie siedm, i kazała im ustawić się w rzędzie w znacznem od Mikołaja oddaleniu.

— Teraz wybieraj sobie tę, która ci się podoba i strzelaj — rzekła do niego Baba, podając mu łuk zaczarowany i strzałę — gdy ją postrzelisz, weźmiesz ją sobie, jeżeli chybisz, zjem cię natychmiast.

Zrorumiał młodzieniec, w jak trudnem znalazł się położeniu, z którego nie było wyjścia. Łanie były wszystkie do siebie podobne jak krople wody, a odległość znaczna, jaka od nich dzieliła, nie pozwoliła porozumieć się z ukochaną. Mógł wreszcie chybić, strzelając z łuku obcego, którego nie miał dotychczas w ręku i nie znał jego własności, a wtedy czekała go śmierć niezawodna, straszna i hańbiąca. Nie było jednak czasu do namysłu, brząknął struną, próbując łuku, a wpatrywał się bystro i uważnie w stojące przed sobą, czekając na znak jaki od tej, która go wprowadziła w niebezpieczeństwo. Jakoż spostrzegł, że łania stojąca w pośrodku patrzy na niego przenikliwem, ognistem okiem, podczas gdy inne obojętnie wodziły wzrokiem dookoła.

— Ta moja! — pomyślał sobie, wsparł strzałę na cięciwie i zmierzył.

Ufny w swoją siłę i wprawę, nie wątpił, że ją ugodzi śmiertelnie. Już, już miał strzałę wypuścić, gdy wtem z żalu za łanią ręka mu zadrżała i łuk upadł do nogi.

Nagle spotkał się wzrok jego z iskrzącemi się ślepiami Sitnicy, która roztwierała już gębę, aby go pożreć, więc przerażony i zawstydzony brakiem odwagi, nabrał znów męztwa, wymierzył powtórnie i puścił strzałę świszczącą.

W tym momencie ugodzona nią łania przemieniła w nadobną dziewicę, która z rozpoztartemi ramiony przybiegła do młodzieńca, aby mu podziękować za wybawienie z rąk czarownicy.

— Oto ona! — — krzyknął uradowany łowiec i począł prosić Baby, by mu ją darowała według obietnicy.

— No, masz szczęście, żeś taki celny strzelec — rzekła Baba Sitnica — bierz ją sobie, a wynieście się stąd obydwoje czemprędzej, pókim dobra.

Wieść o tem zdarzeniu cudownem rozeszła się szybko po bliższych i dalszych grodach i osadach myśliwskich, a na weselu w Bieczu zebrały się tłumy ciekawych, pragnąc zobaczyć dziewicę odebraną czarownicy i junaka, który ją uwolnił z więzów zaklęcia.

Seweryn Udziela.

ON — ONA.

Wyszła raz ona — i wyszedł raz on,
Poznała go ona — zakochał się on,
Mrugnęła nań ona — oświadczył się on,
Przyjęła go ona — ożenił się on,
Więc żona jest ona — a mężem jest on,
Grymasy ma ona — a znosi je on,
Potrzeby ma ona — a pracę ma on,
Wydatki ma ona — a długi ma on,
Dziatki ma ona — ich ojcem jest on,
I matkę ma ona — teściową ma on,
Głos w domu ma ona — a panem jest on,
Gdy krzyknie nań ona — pod stół włazi on,
Wyciąga go ona — opiera się on,
Bo przecież nie ona — lecz panem jest on.

ŚMIERTELNY TANIEC W OEKÖRITO

Życie ludzkie, to jak ta pajęczyna, zawieszona wśród gałęzi drzew. Lada silniejszy podmuch wiatru przerywa pajęczynę, lada wypadek przecina nić żywota ludzkiego. Dziś człowiek zdrów i wesół, nieprzeczuwający niczego złego, jutro może będzie spoczywał snem wiecznym na śmiertelnej pościeli — a dobrze jeszcze i to, gdy spocznie w Bogu, porachowawszy się wprzód z swem sumieniem i zasiliwszy się św. Sakramentami na drogę wieczności. Ale jakże często dzieje się w życiu naszem inaczej?!



Mimowoli przyszły nam na myśl powyższe uwagi, gdy druty telegraficzne zaczęły przynosić wprost okropne wiadomości z Węgier, z wioski Oekörito.

Wioska ta, licząca około 2000 mieszkańców, leży na południe od naszych Karpat, niedaleko rzeki Cisy, na Węgrzech. Zamieszkują ją zamożni wieśniacy, pracujący bądź na własnych gruntach, bądź w sąsiednich dworach. Jest ona przeważnie religii luterskiej.

Niedawno ukończono budowę wielkiego kościoła luterskiego, więc na pokrycie reszty kosztów budowy postanowili mieszkańcy urządzić wielką zabawę z tańcami w pierwszy dzień Wielkanocy. Cenę wstępu na zabawę oznaczono dość wysoko, bo koronę od osoby, mimo to jednak zgromadziło się więcej ludzi, niż lokal mógł pomieścić.

Zabawa odbywała się na podwórzu gospody, w wielkiej stodole, mogącej pomieścić paręset osób. Stodoła była zbudowana z drzewa i miała dach poszyty słomą; na strychu znajdowała się jeszcze słoma z jesiennej młocki. Ściany przyozdobiono choiną, papierowemi girlandami, sztucznymi kwiatami i lampionami. Aby uniemożliwić dostęp niezaproszonym, zamknięto z obu stron wrota, tak szerokie, że mogły przepuścić wóz naładowany sianem, zabito je gwoździami i umocniono jeszcze poprzecznemi belkami tak, iż nawet przy pomocy siekiery nie łatwo by je można rozbić. — Otworem pozostały tylko małe boczne drzwi w kącie stodoły.



Zaraz po nabożeństwie w południe zaczęli się zbierać zaproszeni goście, a razem z zaproszonymi przychodzili i nieproszeni, jak to zwykle we wsi bywa. Zaraz więc na wstępie przyszło do kłótni między zapraszającymi a kilkunastu parobkami i dziewczętami, którzy, chociaż nieproszeni, usiłowali dostać się do wnętrza. Wobec tego wrota jeszcze silniej pozabijano.

Zapanował wreszcie porządek; zabawa odbywała się ochoczo. Do tańca przygrywały dwie muzyki: włościańska i cygańska. Rozbawiona młodzież nie próżnowała, a miał się kto bawić, gdyż obecnych było około 700 osób.

Wesołe pląsy przerywał szczery śmiech i swobodne żarty i nikt nie przeczuwał, co miała przynieść przyszłość.

Nagle miejsce zabawy ogarnął jakiś niezwyczajny blask, a z ust bawiących wydarł się przeraźliwy krzyk:

— „Gore!"

I rzeczywiście, z niewytłómaczonego dotychczas powodu, po papierowych girlandach i sztucznych kwiatach poczęły pełzać czerwone płomienie, skąd przerzucały się na lekkie stroje tanecznic i taneczników. Kto żył, rzucił się do ucieczki, ale na nieszczęście były wolne tylko jedne jedyne drzwiczki, które w jednej chwili zostały zatarasowane stosami ciał, wijącemi się w bolu.

Co się tam działo, tego ludzkie pióro opisać nie potrafi. Jedno morze płomieni, a w niem kilkaset ludzi, wijących się w bolu i jęczących rozpaczliwie.

Daremno uderzano w zamknięte i umocowane wrota: nie dały się poruszyć. Tymczasem dach płonął coraz szybciej, rozżarzone belki, jakby płomienne żagwie padały w przerażony tłum, zapalając ubrania, parząc i kalecząc.

We wsi zauważono szybko pożar; dookoła stodoły zgromadziły się rodziny płonących wewnątrz uczestników zabawy. Ale wobec szybkiego rozszerzania się pożaru, nie można było myśleć o ratunku. Wszelkie usiłowania były daremne. Zebrani mieszkańcy byli naocznymi świadkami katastrofy, słyszeli straszne jęki umierających, a nie mogli im dopomódz. Wreszcie udało się wspólnym wysiłkiem wywalić kawał ściany płonącej stodoły. Ale tylko niewielu ludzi znalazło w tem ocalenie; dla reszty przyspieszyło to zagładę. Przepalony już dach runął, strąciwszy część podpory i pogrzebał pod płonącymi gruzami stłoczone wewnątrz ofiary. Tylko niewielu, znajdujących się tuż obok wyrwanej ściany, zdołało się wydostać z płomieni.

Katastrofa trwała zaledwie kilkanaście minut; stodoła paliła się jednak aż do rana tak, że rato-

wanie rannych było prawie niemożliwe. Na miejsce strasznego wypadku przybyła natychmiast żandarmerya, wojsko, wszyscy lekarze z okolicy. Po ugaszeniu zgliszcz, rozpoczęto wydobywać trupy. Są one przeważnie tak uszkodzone, że nie można ich rozpoznać. Wskutek tego trudno stwierdzić ostatecznie liczbę ofiar. Waha się ona między cyfrą 300 i 500, z wliczeniem śmiertelnie rannych, którzy umierają z godziny na godzinę.

Na miejscu pożaru rozgrywały się rozpaczliwe sceny. — Tłumy mieszkańców Oekörito i sąsiednich miejscowości przeszukiwały spalone zwłoki, usiłując na podstawie strzępów sukien lub innych drobiazgów rozpoznać swych krewnych. Wieś wygląda jak gdyby wyludniona. Są domy zupełnie opustoszałe, ponieważ wszyscy ich mieszkańcy zginęli w płomieniach. W wielu domach pozostały tylko drobne dzieci i stare kobiety, niema zaś prawie domu, gdzieby nie opłakiwano kogoś z rodziny. Wśród ofiar znajduje się także kilku żandarmów i żołnierzy, którzy przybyli na święta do domów rodzinnych.



Z pobliskiego miasta Szatmar przywieziono około dwustu trumien, do których składa się rozpoznane zwłoki i oddaje na życzenie rodzinom. Nierozpoznane zwłoki złożono we wspólnym grobie. Rannych umieszczono w szpitalach szatmarskich; wielu z nich nie da się utrzymać przy życiu. Kilku ocalonych oszalało z przerażenia. Wydobywszy się z płomieni, rozbiegli się po polach i powrócili do domów dopiero w ciągu dnia następnego.

Niektórzy z rannych cierpią tak strasznie z powodu oparzeń na całem ciele, że błagają, aby im odebrano życie. Inni zdrowi, ale zrozpaczeni skutkiem straty najdroższych osób, nie chcą odejść, lecz łkają żałośnie i łamią ręce z rozpaczy.

Jeden z ocalonych opowiada, że zaraz po wybuchu pożaru zdołało wybiedz kilka dziewcząt w lekkich sukienkach, już płonących, na podwórze, ale niektóre z nich, ubiegłszy zaledwie kilka kroków, padały na ziemię i kończyły życie w strasznych męczarniach.

Według obliczenia między zginionymi było 3 dzieci niżej 5 lat, 33 dzieci w wieku szkolnym, 20 osób ponad 50 lat, reszta zaś w najpiękniejszych latach życia, bo od 17—25 lat.

Straszna zaiste zabawa i straszny jej koniec!

Wzrok ofiary.

XVII. Tajemnica Rowera.



W długiej, tchnącej szczerością spowiedzi, pełnej smutnych wspomnień z lat młodocianych, tych pięknych lat przeżytych razem z Rowerem — przedstawiał Dantin swoje losy życiowe, żal z powodu zmarnowanego życia na błahe uciechy i przyjemnostki, które wskutek braku zasad moralnych i nędzy materyalnej, omal nie doprowadziły go na drogę występku.

I mówił dalej, jak kochał tego Rowera, o którego zamordowanie jest teraz podejrzany. Przecież był to jego jedyny, prawdziwy przyjaciel, jakiego znalazł w ciągu swego pełnego trosk żywota. Nawet sam Rower samotny, podejrzliwy, obawiający się ludzi, uwierzył w ostatnich latach swego burzliwego i dziwacznego życia, że takie przywiązanie do przyjaciela może być prawdziwem; humor Dantina, który pozostał mu z lepszych czasów, łagodził dziką nienawiść nieszczęśliwej ofiary.

— Ale równocześnie ciągle oddawałem się moim nałogom, które ludzie zwykli nazywać przyjemnością, a które stają się jednak zbrodnią, gdy włos posiwieje na skroniach: nie przestałem grać w karty, rzuciłem się w wir życia, aby zapomnieć o mojem własnem życiu. Przeciwnie Rower odsuwał się coraz bardziej od świata, przemieniał się w samotnika. Niechciał nikogo widzieć na oczy. Stał się dzikim wilkiem, ukrywającym się w głębi jamy. I nie sądzisz pan chyba, że mówię nieprawdę?

– Kochałem Rowera zawsze, chociaż życie często nas rozdzielało. On szukał majątku w innej części świata, ja trwoniłem i wyrzucałem w błoto mój majątek w Paryżu. Ale zawsze łączyły nas ścisłe wzajemne stosunki, a kiedy Rower powrócił do Francyi, cieszyliśmy się obaj ze spotkania po tak długiem niewidzeniu się. I im bardziej starość ciążyła nam na barkach, tem bardziej rozgrzewały się nasze serca wzajemnem uczuciem przyjaźni. Rower od dwudziestego roku życia nudził się. I właśnie dlatego obrał zawód konsula, bo pragnął zdala od Paryża prowadzić życie, jak najmniej podobne do dawnego. Nieraz mówiłem mu z uśmiechem, że musi go dręczyć jakaś tajemna miłość. Ale zawsze zaprzeczał temu, a ja udawałem, że wierzę jego słowom.

Wyniosła, dumna twarz Dantina przybrała znużony wyraz, który zrazu w sercu milczącego i słuchającego uważnie sędziego wzbudził zadziwienie, niebawem zaś współczucie.

— Pomijam wszystkie szczegóły. Lata młodości upłynęły nam szybko jak sen; później odnaleźliśmy się znowu: on znużony w swojem mie-

szkaniu na dalekiej ulicy, gdzie chciał żyć i umrzeć wśród ulubionych obrazów i książek, ja, żyjący dalej szałem, gnany tu i tam jakąś tajemną siłą. Rower wygłaszał mi długie, umoralniające kazania, kiedy go odwiedziłem i kiedy przy płonącym kominku odświeżaliśmy nasze wspomnienia; śmiałem się z tego. Jednym z najulubieńszych jego przedmiotów był mój portret. Wisiał on w pokoju, z lewej strony kominka, a Rower mówił mi nieraz: „Wiesz mój drogi, nawet kiedy cię tu niema, rozmawiam z tobą".

— Pewnego dnia — było to rano, kiedy w ciągu nocy przegrałem tyle pieniędzy, iż mogłyby zapewnić szczęście wielu rodzin — znalazłem na mojem biurku list od Rowera.



— Jeżeli przeszukano moje papiery, znaleziono go zapewne, bo przypominam sobie dobrze, że go zachowałem. Rower prosił mnie w kilku słowach, abym natychmiast przyszedł do niego. Nie wiem dlaczego, ale list ten wzbudził we mnie uczucie przerażenia, jak gdyby groziło jakieś niebezpieczeństwo. Pismo było drżące i zmienione. Z gniewem uderzyłem się ręką w czoło. List leżał na mojem biurku już od poprzedniego wieczora, a ja tymczasem spędzałem noc przy kartach. I gdybym, przybywszy do niego, znalazł był Rowera trupem, byłoby to największą boleścią mojego życia. Zamordowanie mojego biednego przyjaciela jest niewątpliwie straszne i bardzo mnie smuci, ale mam czyste sumienie, nie potrzebuję sobie wyrzucać, że zawiodłem jego przywiązanie do mnie. — Skoro tylko przeczytałem list, wsiadłem do dorożki i pojechałem do niego. Kobieta zajmująca się jego gospodarstwem, pani Moniszowa, otworzyła mi drzwi i rzekła, wyciągając z przerażeniem ręce:

„Chcesz pan odwiedzić biednego pana Rowera? Niewiele już brakowało, a byłby umarł w ciągu nocy; ale teraz nastąpiło polepszenie".

— W kącie pokoju przy kominku, gdzie zwykle siadywał, dostał Rower poprzedniego wieczora ataku apopleksyi, któremu jednak udało się szybko zapobiedz. Skoro tylko mógł utrzymać pióro w rękach, nie bacząc na przestrogi lekarza, napisał i wysłał list leżący na mojem biurku od tylu godzin.

— Chciał się zemną natychmiast zobaczyć. Gdy tylko wszedłem, on, ten silny człowiek, ten zgorzkniały, milczący, ponury wróg ludzi, rzucił mi się z płaczem na szyję, przycisnął mnie do piersi. Uścisk ten był uściskiem człowieka, który wszystkie swoje nadzieje pokłada w jednej istocie.

„Słuchaj! Słuchaj! — mówił mi szeptem do ucha — gdybyś ty wiedział! Bo ja ci chciałem coś powiedzieć... Jest to tajemnica mojego całego życia!"

— Wyciągnął się na kanapie, poprosił mnie, abym usiadł przy nim, potem ujął moją rękę i rzekł:

„...Czuję, że śmierć się zbliża. Zdaje mi się, że ta noc już będzie ostatnia. I dlatego przywołałem cię do siebie. Bo gdybym umarł, nie rozmówiwszy się z tobą, pewna istota na świecie nie otrzymałaby majątku, który się jej należy. Mam..."

— Stłumił głos, jak gdyby się obawiał, że ktoś może nas podsłuchać.

„...Mam córkę! Tak jest; nawet przed tobą, który znasz prawie wszystkie szczegóły mojego życia, ukrywałem tę dręczącą mnie tajemnicę. Jest to dziewczyna, która mnie kocha, a która niema prawa przejawić tych uczuć, podobnie jak ja niemam prawa dać jej mego nazwiska. O, nasza młodość! Jakże ciężko muszę teraz za nią pokutować. Byłem lekkomyślnym, popełniłem szaleństwo i nie miałem siły stworzyć sobie obowiązków. A przecież od pewnej chwili życia można żyć tylko przez to, że się ma obowiązki, że się żyje dla czegoś. O, gdybym to był wiedział!... Byłbym miał dzisiaj ognisko domowe, kochającą istotę obok siebie; a dzisiaj zamiast tego mam tylko uczucie, którego muszę się wstydzić, które ukrywałem nawet przed tobą, Jakóbie, nawet przed tobą, czy ty to rozumiesz?"

— Wszystkie te słowa biednego Rowera brzmią mi żywo w pamięci, jak gdybym je dopiero przed chwilą usłyszał. Ta rozmowa z moim nieszczęśliwym przyjacielem pozostała dla mnie najdroższem, chociaż najboleśniejszem wspomnieniem. Wszystko, co wycierpiał ten samotnik, odczuwałem i ja także, żyjący bez celu i obowiązku, słowa jego ostre jak ostrze igły kłóły mnie w serce. Z zaufaniem, które mi ból sprawiało, zwierzył mi ten biedak wśród kaszlu i duszenia się swoją tajemnicę, którą ukrywał przedemną od lat długich. A ja przysiągłem... panie sędzio, i dlatego wahałem się mówić, przysiągłem, panie sędzio śledczy, że nie zdradzę nikomu tej tajemnicy, jaką mi powierzył, z wyjątkiem jej...

— Jej? — zapytał Ginory, przerywając tok opowiadania Dantina.

— Jego córce! — odparł Jakób Dantin.

Sędzia śledczy przypomniał sobie teraz tę tajemniczą kobietę w żałobie, która widywano kilkakrotnie w mieszkaniu Rowera.

— A ta córka? — pytał dalej sędzia.

— Nosi ona — odparł Dantin, widocznie znużony — nazwisko człowieka, który jest mężem jej matki. Jest to znane nazwisko pewnego jenerała, który mieszka z żoną na prowincyi i który ubóstwia swą córkę, nie wiedząc, że jej ojcem jest kto inny. Matka jej żyje z mężem, pielęgnując go z pełnem pokory oddaniem, wydającem się staremu żołnierzowi najgłębszą miłością, jaka może przypaść człowiekowi w udziale na świecie. Przed kilkoma laty, chora, obawiając się śmierci lada chwilę, wyjawiła dziewczynie tajemnicę jej urodzenia. Sądziła, że przez tę spowiedź, pełną żalu i skruchy, przynajmniej w części zmaże swą winę. Na życzenie matki ta, którą nazywają „kobietą w żałobie", odwiedziła kilkakrotnie Rowera. Ale równocześnie całą swoją miłość poświęciła swemu rzekomemu ojcu, postanowiła ukryć na zawsze w piersi tajemnicę, postanowiła nigdy nie wyjść za mąż, aby nie opuszczać starego, osłabionego żołnierza, który nazywa ją córką i jak córkę do serca przyciska.

Ginory nie doznał głębszego wzruszenia, słysząc o tym cichym, prostym dramacie.

— Ach! — rzekł po chwili — więc dlatego pan milczałeś?

— Tak, panie sędzio. Ale nie mogłem znosić dłużej tej męczarni, a ponieważ nie nadchodziło wybawienie, którego czekałem, więc postanowiłem wyznać wszystko, byleby uciec przed tą samotną celą więzienną, przed tą śmiercią z powolnego duszenia się.

— Nigdy nie zapomnę radości Rowera, kiedy zrzucił z serca tę gniotącą tajemnicę i rzekł do mnie:

„...Teraz moja biedna córka, żyjąca z człowiekiem, o którym wie, że nie jest jej ojcem, a któremu poświęca wszystkie siły, aby go pielęgnować, teraz ta niewinna istota przynajmniej będzie miała żywot szczęśliwszy... Ona młoda jeszcze, ten przybrany ojciec nie będzie żyć wiecznie. Mój majątek będzie jej posagiem, a potem...“

— O tym majątku właśnie chciał ze mną mówić. U notaryusza miał złożonych tylko niewiele pieniędzy. Wskutek niedowierzania do ludzi, wszystkie papiery wartościowe przechowywał w domu w żelaznej kasie. Nie był on skąpcem w prawdziwem znaczeniu tego słowa, ale chciał wszystko, co do niego należało, mieć przy sobie, pod ręką. Żałuję bardzo, że wówczas w tym dniu zwierzeń, nie zapytałem go, co zamierza uczynić ze swym majątkiem, w jaki sposób chce go przelać na dziewczynę, której nie miał prawa nazywać swoją córką? nie śmiałem się zapytać, a raczej, prawdę powiedziawszy, zapomniałem o tem.

— Z rozdartem sercem pożegnałem się z nim, unosząc w sercu tę ponurą, straszną tajemnicę. Ale czułem, że Rower istotnie powinien oddać swój majątek owej dziewczynie, która, po śmierci tak troskliwie pielęgnowanego, przybranego ojca, pozostanie biedna i samotna.

— Czułem, że w mojem ręku znajduje się los owej Marty, której nie znałem, lecz którą oczyma duszy widziałem ciągle przy boku złamanego starca, pokutującą za winy matki. Powtarzałem sobie, że Rower powinien mi powierzyć majątek, jaki zamierzył oddać tej biednej dziewczynie, że jest moim obowiazkiem zachęcić i nakłonić go do tego czynu. Widziałem mój obowiązek jasno przed oczyma; powziąłem ostateczny zamiar. Każdy dzień zmniejszał siły nieszczęśliwego, coraz był podobniejszy do żyjącego trupa. — Pewnego dnia, przyszedłszy do niego, zastałem go w rozpaczliwym stanie. Opowiedział mi, że omal nie został okradziony, że ktoś oderwał zamek przy drzwiach, że kasa z pieniędzmi była na oścież otwarta.



— Nagle roześmiał się dziwnym, cichym śmiechem.

— ...Jakiż ja jestem głupi — rzekł — śniłem z otwartemi oczyma. W jasny dzień snuję dalej to, co marzę w nocy... Tutaj złodziej?! Nie było tutaj nikogo... Moniszowa czuwała przecież... Ale mój umysł jest tak osłabiony... tak osłabiony... stykałem się w mojem życiu z tyloma łajdakami i rozbójnikami! A teraz zaczynają mi stawać przed oczyma! Zabawne zjawiska, nie prawdaż? Ale w snach widzi się to tylko, co się widziało w życiu. Mogłem był lepiej wybrać!“

— Znowu próbował się śmiać.

— Był to początek szaleństwa, które powtarzało się coraz częściej i które mnie przerażało.

— Dobrze — rzekłem sam do siebie — w najpierwszej chwili przytomności musi uczynić, co postanowił, co chciał uczynić, co chce uczynić.

— I postanowiłem, oh, musiałem postanowić, jeżeli jego córka miała otrzymać posag, postanowiłem dopomódz jego wahającej się, na pół zagasającej woli. Stało się to tego samego dnia, kiedy pani Moniszowa ujrzała nas obu stojących przy kasie nad rozłożonemi papierami. W dniu tym Rower był spokojniejszy, leżał wygodnie rozciągnięty na kanapie z nogami przykrytemi chustką.

— „...A gdybym mimo to wyzdrowiał, żył dalej, cóż wtedy?“ — zapytał, wpatrując się we mnie uporczywie.

— Odpowiedziałem mu, że bezwątpienia pożyje jeszcze długo, że nie powinien nawet myśleć o śmierci. Ale równocześnie, zapytałem go, czy obecne polepszenie zdrowia nie zwiększyłoby się jeszcze wskutek pewności, że dziewczyna, o której mówi z taką troskliwością, jest zaopatrzona.

„I właśnie dlatego — rzekłem do niego — że zdrowie twoje się poprawiło, mój drogi Rowerze, nadszedł czas, abyś uporządkował życie, jakie zamierzasz rozpocząć, tak, aby się stało nowem życiem“.

— Spojrzał na mnie przenikającem spojrzeniem, poznałem natychmiast, że odgadł moje myśli.

„...Tak, masz słuszność — rzekł stanowczo — nie należy być słabym!“

— Potem zebrał wszystkie siły, odepchnął moje ramię, którem chciałem go podeprzeć, powstał, chwiejąc się, postąpił dwa, trzy kroki, potem poszedł prosto do kasy z pieniądzmi, otworzył kasę, wyjął z niej stos papierów i rzekł:

„...Wszystko, co tu złożone, przeznaczam dla niej... Testament? Prawda, mógłbym napisać testament... ale w takim razie zapytanoby może jakim prawem mieszam się w jej życie... Ludzie zaczęliby szukać... badać przeszłość... Nie, nie chcę testamentu... Co do mnie należy, ona dostanie... ty jej doręczysz...“

— Jego wielkie, pełne chciwości oczy zaczęły szukać wśród papierów czegoś, czego nie znalazły.

„...Ach! — zawołał — gdzież są te papiery... Przecież pamiętam, że były tutaj... tak, tutaj... nie w banku... gdzie ja je podziałem?“

— Zaczął przewracać papiery tu i tam, przeraził się i zbladł.

„Jakto — rzekłem — więc to nie te papiery?“

— Potrząsnął głową i z nowym wysiłkiem podszedł powtórnie do żelaznej kasy, szukał i przewracał papiery, wreszcie cofnął się przerażony:

„...Niema ich tutaj. Cóż to znaczy, że ich tu niema?

— I zaczął patrzeć na mnie dziwnym, przerażającym wzrokiem. W całej jego istocie malował się przestrach. Potem nagle przetarł ręką czoło, na którem skronie zapadły się niby ciemne jamy i, jak gdyby budząc się ze snu, wyjąkał.

„...A prawda, przypominam sobie... przecież ukryłem je... tak, tak, ukryłem?... Ale gdzie?... Tak

jest... gdzie ja je ukryłem?... nie wiem... nie mogę sobie przypomnieć... zapewne w książce... ale w której?

— Rozglądał się do około wzrokiem szaleńca, błędnie, nierozumnie; gdy chciał się odwrócić, zachwiał się i powtórzył zachrypłym, zmienionym głosem:

„...Gdzież one są? Gdzie ja ukryłem te papiery?"

— W tej właśnie chwili, panie sędzio, weszła żona stróża i zobaczyła nas obu stojących przy papierach, o których wspomina. Nie wątpię, że moje oblicze musiało być bardzo zmienione i bardzo blade, ponieważ gwałtowne wzruszenie tamowało mi głos w krtani.

— Rower zawołał gwałtownie:

„Czego chcesz tutaj?"

— A gdy się ociągała, wymownym i stanowczym ruchem wskazał jej drzwi.

— Ale Moniszowa miała dosyć czasu, aby dostrzedz otwartą kasę żelazną i rozrzucone papiery. Pojmuję bardzo dobrze, że mogła się omylić i oskarżać mnie z tego powodu. A oprócz tego kobieta ta nie mogła nie widzieć i nie czuć, że między mną a Rowerem rozgrywa się coś tragicznego.

— A kiedy wyszła z pokoju, stan Rowera pogorszył się jeszcze. Dokładając wszelkich wysiłków, próbował zebrać myśli i odzyskać jasność umysłu, aby odnaleźć ślad kryjówki, gdzie nierozsądnie ukrył cały swój majątek. Zbierał ostatnie siły życiowe i walczył z chorobą, która odbierała mu świadomość i pamięć. Oczy rozszerzały mu się przerażeniem, ale nie mógł nic znaleźć, nic sobie przypomnieć.



— Straszna była ta walka, straszny był wzrok tego dyszącego, jak zwierzę dzikie, człowieka, rozdrażnionego własną niemocą. Zimny dreszcz przebiegł moje ciało, kiedy ujrzałem wściekłość z jaką rzucił się na papiery, niepotrzebne już stare dokumenty, bez wartości, pochwycił je wychudłymi palcami, zgniótł, podarł w kawałki i cisnął na ziemię. A potem zaczął się śmiać. Gorączkował coraz bardziej, deptał rozrzucone papiery, aż wreszcie siły jego się wyczerpały, z okrzykiem: „Duszę się!" upadł na ziemię. Podniosłem go i ułożyłem na kanapie.

— Wydawało mi się, że nadeszła jego ostatnia godzina. Ale przytomność wróciła. Czyż jednak po tem zemdleniu, mogłem z nim mówić o córce, o jego testamencie, o majątku, który chciał złożyć dla niej na moje ręce? Kiedy oprzytomniał zupełnie, nie myślał już o tem. Zaczął rozmowę o drobiazgach, dzieciństwach.

Powiedziałem sam do siebie: Trzeba zaczekać. Jutro, gdy noc prześpi spokojnie, może sobie łatwiej przypomni. Wszak jest jeszcze kilka dni czasu, jak mówił sam doktór. Nie czekając nawet na jego prośbę, pomogłem mu zebrać podarte, zgniecione papiery i zamknąć w kasie; nie pytał wcale, co się z niemi działo, kto je cisnął na ziemię, kto otworzył kasę. Potem rzekł znużonym głosem:

„Jestem bardzo osłabiony, chciałbym spać".

— Zamknął oczy i powtarzał jeszcze szeptem: „Spać, oh, jak to miło spać!"

— Pomyślałem sobie: Jutro odwiedzę go znowu. Jutro powróci mu świadomość, zacznie szukać, ja mu pomogę i może gdzieś, w jakiejś książce odnajdziemy to, co przeznaczył dla córki.

— Jutro! To słowo, które ludzie tak często powtarzają, a którego właściwie wcale nie powinni używać.

— Jutro! Nie doczekałem się tego jutra; gdy zobaczyłem Rowera, był już trupem, z przeciętem gardłem, ofiarą morderstwa. Kto go zamordował? Człowiek, uwięziony przez pana, podróżował wiele... przybywa z daleka. Rower był konsulem w Buenos-Ajres, a pan przypomina sobie słowa, jakie Rower wyrzekł do mnie w dniu, kiedy widziałem go po raz ostatni: „Miałem do czynienia w życiu z tyloma łajdakami!" I ja nie wątpię w to.

Dantin zamyślił się na chwilę.

— I oto cała prawda, panie sędzio! Mogłem był powiedzieć panu to wszystko wcześniej, ale powtarzam raz jeszcze: nie chciałem łamać przysięgi danej mojemu zmarłemu przyjacielowi. A i to przypominam: byłem przekonany że prawda wyłoni się sama z siebie. Nie przypuszczałem ani przez chwilę, że omyłka władzy pozostanie niewyjaśniona, przeciwnie, byłem najpewniejszy, ze niebawem zostanę wypuszczony na wolność. A oprócz tego potrzebowałem przecież powiedzieć tylko jedno słowo. Wahałem się, znosiłem chętnie następstwa mojego milczenia, ponieważ to słowo jest nazwiskiem.

— Nie pytałem pana wcale o to nazwisko — odpowiedział sędzia śledczy.

— Zamilczałem je przed sędzią — mówił dalej Dantin — mogę je powierzyć człowiekowi honoru.

— Tu znajduje się przed panem tylko sędzia — odparł Ginory — ale śledztwo ma swoje tajemnice, podobnie jak życie.

Jakób Dantin zawahał się jeszcze chwilę, a potem wymienił nazwisko prawne tej kobiety, którą Ludwik Piotr Rower nazywał Martą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZŁOTE MYŚLI.

Szatan wszystko wie, rozumie,
Ale cóż mu jest nieznanem?
Modlitwę odrzuca w dumie,
I dlatego jest szatanem.

Jadwiga Łuszczewska.

Podejrzywać bliźnich, jest najmilszem zajęciem próżniaków.

Czy mam złoto, czy bez złota,
Zawszem żwawy i wesoły;
Poczciwego zdobi cnota,
Ani mię wstyd — kiedym goły.

Kajetan Węgierski.



Mój Boże, mój Boże! Zeby ja to umioł cytać, nie byłbym ja taki durny, jak wielu w nasy wsi. Jagbyście tak, Boże broń, kiedy do nasy wsi przyjechali, tobyście się za kudły złapali, co się tu u nas nie dzieje. Jak przyjdzie niedziela, choćby to było nawet nieprzymirzając w poście, to wam w karcmie pełno ludzisków, jakby na jakiem odpuście. Śpasują, gadają byle o cem; a z cego zadnego pozytku ni ma, ino grzych i obraza boska.

A spytajcie się którego, co było w gazycie napisane, to wywali ślipie i mało cię przez łeb nie przejedzie. Bo tez i prawda, ze w nasy wsi, próc mego gospodarza, to ani jeden gazety nie cyta.

Pytam się wkiejsik Grzeli Mądrali, cemu to ludzie tak od gazyt stronią, jak dyabeł od święcony wody, a on pada:

— Idź głupi Maciek! Kazdyby cytoł gazyty, zeby mu je zadarmo dawali, ale piniędzy na byle co, to zaden porządny człowiek tracił nie będzie! Cy to — powiada — gazety człowiek se poje, abo napije, abo co? Zreśtą, zadarmo, to co inksego!

Taka mnie złość rozebrała zem Grzele sprzeklinał i zwyzywał od kominiarzów, mularzów i innych aptykarzów.

— Jakto — powiadam — wódkę dają ci za darmo? O nie! ty ją płacis i robis ze siebie prosie, a korony ci nie zal! Ty idzies na granie i pchas do skrzypiec szóstkę za szóstką i szóstek ci nie zal, a na gazyte to piniędzy ni mas? Moze powis, ze na cytanie nie ma casu? Ehe! a na pijptykę i hulanki, albo wyligiwanie się do góry plecami, to cas jest. Bodaj cię święty Pieter do raju nie puścił!

Tagem się rozgniwał na Grzele Mądrale i na wszystkich mądralów, zem gadać z niemi nie chciał.

Posedem do chałpy i padom do gospodarza:

— Wicie co gospodarzu! ja od dziś będę z wami trzymał gazytę do spółki. Coprawda piniędzy wam nie dam, ale za to nic wam nie ukradne, ani z komory, ani z obory, ani z zadnego insego miejsca i tak tem sposobem będziewa mieli gazytę na spółkę. A zreśtą ja to poznaje, ze to nieładnie, jak parobek gospodarza kradnie.

Ucieszyli się gospodarz okropnie i nawet mi dyma z fajki pod nos puścili i powiadają:

— Wis co Maciek! uc sie cytać, a będzies jesce mądrzejsy, jak jesteś, a moze kiedy na ludzi jesce wyjdzies, a moze nawet grubarzem ostanies!

Od tego waznego zdarzenia juz przesło dwa tygodnie i codzień mnie gospodarz ucą cytać przez dwie godziny. A ze mnie głowa pojętna, bo juz na kazdy kaździuteneńkiej ksiązce, cy to lamentarz, cy książka do modlenia, cy gazyta, poznom litere „i“. Abo to taka wielga rzec!? Na dole kołek u góry bułecka i koniec.

KRONIKA.

Śmierć w studni. W wielką sobotę wpadła do studni żona sędziego Wł. Rechowicza w Mielcu, 28 letnia Marya i utopiła się. Gdy nie wracała do domu rozpoczęto poszukiwania, ale napróżno. Dopiero w niedzielę zobaczyła córka pocztmistrza nogi wystające ze studni i zaalarmowała sąsiadów, którzy wyciągnęli trupa nieszczęśliwej.

W oczekiwaniu śmierci. Nikt nie wie dnia, ani godziny, kiedy go śmierć zaskoczyć może. Niejeden zabiera się do jakiejś pracy, nieprzypuszczając, że ona będzie ostatnią w jego życiu. A cóż dopiero mówić o tych, którzy narażeni są na ciągłe niebezpieczeństwo w walce o chleb codzienny.

Niedawno temu, niedaleko portu tryesteńskiego, przeżyło kilku rybaków wstrząsający wypadek, który omal nie zakończył się ich śmiercią.

Pięciu rybaków wyjechało na dwóch łodziach na połów. Dwóch rybaków siedziało w jednej łodzi, a w drugiej trzech. Połów był obfity. Gdy jeszcze raz zarzucono sieć weszło do niej tyle ryb, że żadną miarą nie można było jej wyciągnąć. Było to na tej łodzi, gdzie siedziało trzech rybaków. Usiłowali oni daremnie wyciągnąć sieć na powierzchnię morza. W tem szamotaniu się z siecią łódź przewróciła się i rybacy wpadli w odmęt wodny. Druga, mniejsza, łódka pospieszyła im na pomoc. Trzy pary rąk kurczowo uczepiły się jej brzegu. Teraz zdarzyło się jeszcze większe nieszczęście, gdyż i ta łódź przewróciła się dnem do góry i pięciu rybaków stanęło bez ratunku w obliczu śmierci... do lądu było bowiem daleko. Wszyscy nieszczęśliwi - rozpaczliwie oblegli dno przewróconej łodzi, oczekując niechybnej śmierci, gdyż pierwsza lepsza większa fala mogła ich pogrążyć w głębi wód.



Szczęściem w tej strasznej chwili nadjechał duży okręt, z którego usłyszano rozpaczliwe krzyki tonących. Okręt niebawem skierował się ku nim, niosąc im ratunek... Biedni ze łzami w oczach dziękowali wybawcom za ocalenie od niechybnej śmierci.

Ogromne śniegi w okolicach Wiednia. Ubiegłego tygodnia spadły w Wiedniu i jego okolicy tak wielkie śniegi, że zatamowały wszelki ruch kołowy, a nawet pieszo trudno było przedostać się z miejsca na miejsce.

Wicher wywrócił pociąg osobowy. Jak donoszą z Tryestu nad Adryatykiem, szalał tam przez kilka dni nadzwyczaj silny wicher, tak zwany „borra“, Zrywał on dachy, łamał drzewa, a przy tem na stacyi Muggia zepchnął z toru kolejowego pociąg osobowy i wywrócił go. W pociągu jechało około 180 podróżnych, z których kilka osób poniosło śmierć na miejscu, a zaś kilkanaście odniosło cięższe, lub lżejsze rany.

Walka z wilkiem. Ostra zima, jaka panowała tego roku w górach Siedmiogrodu, przyniosła mieszkańcom tamtejszym plagę straszną w postaci wilków. Pędzone głodem z gór zbliżały się do wsi i domostw i zabierały zwierzynę, jaką mogły, ale i człowiek nie był bezpieczny, gdy się z wilkiem spotkał.

W pewnej wsi rumuńskiej zdołał się wilk wślizgnąć nawet do izby, gdzie była sama dziewczyna nazwiskiem Marya Todolesku. Przestraszone dziewczę na widok wilka upadło na kolana, będąc pewną, że kres jej życia się zbliża.



Lecz w tej chwili wszedł do izby pasterz, Jerzy Nikolicz, a zobaczywszy drapieżnika, uchwycił za topór leżący na ławie i począł z całej siły rąbać wilka. Pomimo, że wilk już nie żył, Jerzy nie ustawał w rąbaninie, póki nie pociął go na kawałki.

Znieważenie księdza w Czortkowie. Jeden z naszych Czytelników donosi nam o niebywałem zajściu w czasie rezurekcyi w Czortkowie. Rzecz miała się tak: W procesyi, przechodzącej przez miasto, wzięło udział również dwóch oficerów od dragonów, ubranych po cywilnemu. Gdy przy drzwiach kościoła OO. Dominikanów ks. Rajmund błogosławił Przenajświętszym Sakramentem wiernych, oficerzy obaj, jak przez całą procesyę, tak i wtedy nie zdjęli z głów swych kapeluszy, ale stali jak poganie tuż obok księdza. Widząc to ks. Maness, odezwał się do nich bardzo łagodnie, prosząc, aby zdjęli kapelusze. Wtedy jeden z tych oficerów zaczął bić księdza Manessa i obalił go na ziemię. Ludzie rzucili się na pomoc bitemu i podnieśli go. Wtedy drugi oficer uderzył ks. Manessa w twarz. Krzyk ogromny wszczął się między tysięcznym ludem, rzucono się ku oficerom, ale ci, przedtem tak odważni, rzucili się teraz czemprędzej do ucieczki. Oficerzy, uciekając, przewracali ludzi i tratowali ich. Jeden z nich zdołał się schronić do szynku Banacha, drugiego zaś bronionego przez innych oficerów, ujęto i odstawiono do magistratu. Niezadługo przybyła patrol dragonów i poprowadziła oficerów „w paradzie“ do koszar wojskowych.

Napad ten, według listu otrzymanego przez nas, był prawdopodabnie już z góry uplanowany, gdyż oficerzy przyszli na procesyę z rewolwerami nabitymi, a i poprzednio w czasie świąt Bożego Narodzenia zaczepiali już księdza przeora, gdy jechał do klasztoru Sióstr Miłosierdzia celem odprawienia Mszy św. pasterskiej.

Oczywiście śledztwo powinno wykryć powody tej napaści a surowa kara minąć ich nie może.

Naoczny świadek Napoleona I. żyje jeszcze jako 106 letni starzec w schronisku Siótr ubogich w Sydney, w Australii. Jest nim Wiliam Johnstone, który się urodził 26 marca 1804 r. Był on chłopcem okrętowym na statku wojennym „Northumberland“ na którym cesarza przewożono na wyspę św. Heleny. Posługiwał on cesarzowi podczas podróży i pozostał przy nim dwa lata na wyspie. Opowiada on, że Napoleon był prawie zawsze milczący i poważny. Chłopiec mu się podobał. Jeśli wszystkie zarządzenia ku zadowoleniu cesarza wypełnił, uszczypnął go ten lekko w ucho i mówił po angielsku: „good, good“. Napoleon, o którym starzec powiada, że go niesprawiedliwie i prawdziwie po grubijańsku traktowano, dał mu ks ążkę do modlenia z własnoręcznym podpisem. Jako siedmdziesięcioletni starzec wyjechał Johnstone do Tasmanii, gdzie został farmerem; później los go sprowadził do Sydney. Pomimo tak późnego wieku Johnstone jeszcze dość czerstwo wygląda.

Dziecko żywcem do trumny włożone. Z Hiszpanii donoszą: Sześcioletnia dziewczynka straciła przytomność i przywołany lekarz oznajmił, że dziecko umarło. Włożono je zatem do trumny i postawiono w kaplicy cmentarnej. Kiedy kościelny wszedł rano do kaplicy, zastał trumnę otwartą, a dziecko, które jeszcze oddychało, leżące na podłodze koło trumny. Zanim zawiadomieni rodzice przybyli, dziecko rzeczywiście umarło. Biedactwo w nocy pewnie zamkniętą tiumnę z wielkim wysiłkiem otwarło, ale z wysilenia i przestrachu zakończyło życie.

Trudne aresztowanie zbójcy. W Dreźnie, stolicy Saksonii zdarzyło się, że zbrodniarz pewien zakradł się do staruszki, wdowy, mieszkającej na poddaszu pewnego domu, ukrył się za dnia pod jej łóżkiem. W nocy wylazł stamtąd i zaczął bić biedaczkę, żądając pieniędzy, przyczem ją pokaleczył. Wreszcie zastraszona i zbita staruszka oddała mu wszystko co miała schowane pod klatką z ptaszkiem, 200 koron. Wtedy zbójca przez okno dostał się na dach i zaczął dachami uciekać. Jednak sąsiedzi, słysząc katowanie już przedtem wdowy przez zbrodniarza, dali znać do policyantów. Ci przyszli do mieszkania napadniętej i obrabowanej akurat w chwili, gdy zbójca uciekał. Zawołali prędko kominiarza mieszkającego w pobliżu i zaczęli zbrodniarza ścigać po dachach. Śmiały zbrodniarz uciekał zuchwale, ale w końcu widział, że nie podoła, gdyż dachy się kończą i że przyjdzie mu chyba skakać na ulicę z czteropiętrowego domu. Wtedy po rurze do deszczówki spuścił się na jakieś poddasze i schronił w izbie. Policyanci obstawili okno od zewnątrz, a schodami inni razem z kominiarzem wpadli do izby. Ale zbrodniarz i teraz nie chciał się poddać i bronił się drągiem żelaznym, ułamanym z dachu. Dopiero gdy go postrzelili z rewolwerów, upadł i dał się związać.



Nabiegali się dobrze po stromych, śliskich dachach policyanci, namęczyli setnie, zanim go złapali.

Okropna zbrodnia. Niejednemu zdaje się, że z chwilą śmierci kończy się dla człowieka wszystko. Zapomina o tem, że życie to jest tylko wędrówką, po której następuje inne: szczęśliwe, lub nieszczęśliwe. Zapomniał o tem zapewne i robotnik Maksymilian Mann z Mitweide, koło Schemnitz, który w ubiegły czwartek po południu odciął głowy dwojgu swoim dzieciom w wieku 2 do 4 lat, zamordował nożem 14 letnią córkę nieobecnej w domu gospodyni domu, następnie zamordował gospodynią, gdy ta do domu powróciła, poczem udał się na strych, wzniecił pożar i powiesił się na belce. Domownicy odcięli go i ocucili. Mann przed czynem wypisał na stole kredą: „Mam już dosyć tego życia".

Napad w wagonie. Jednym z pociągów kolejowych niedaleko Paryża we Francyi, wracała do domu pewna pani, która pobrała z kasy większą sumę pieniędzy. Dwaj rabusie, dowiedziawszy się jakimś sposobem, kiedy pani owa będzie jechała, postanowili ją obrabować. W tym celu, przebrawszy się w mundury, wsiedli do pociągu, a wypatrzywszy chwilę, gdy pani sama została, zabrali się do dzieła.



Jeden stanął przy drzwiach, aby im nikt w zbrodni nie przeszkodził, drugi zaś zaczął dusić swą ofiarę. Na krzyk jednak mordowanej nadbiegli ludzie z sąsiedniego przedziału i przytrzymali złoczyńców.

W sądzie amerykańskim. Gazety amerykańskie donoszą o ciekawym wyroku sędziego w jednem z miast amerykańskich. Pewien adwokat w ten sposób odezwał się do sędziego w obronie swego klienta, który został aresztowany za włamanie się do cudzego domu.

— Panie sędzio! Oświadczam niniejszym, że klient mój nie włamał się wcale do tego domu. On idąc ulicą zauważył, iż okno stoi otwarte i tylko włożył przez nie rękę i wyjął kilka bezwartościowych przedmiotów, a że ręka człowieka nie stanowi całej osoby, więc nie mogę zrozumieć, jak można oskarżonego pakować za to do aresztu: że ręka sobie coś przywłaszczyła.

— Dowód pański jest zupełnie na miejscu — odrzekł sędzia. — Postępując więc dalej w ten sposób, zasyłam rękę owego człowieka na jeden rok do więzienia. Może on pójść z nią lub bez niej, pozostawiam to do jego woli.

Po twarzy oskarżonego przebiegł wyraz zadowolenia. Po chwili zaczął on przy pomocy swego adwokata odpinać swą sztuczną rękę, a położywszy ją na stole przed sędzią, podziękował mu za iście salomonowy wyrok.

Dzięki Bogu, że u nas niema takich sędziów, którychby można tak łatwo wyprowadzać w pole.

Szybki bieg myszy. Obliczono, że mysz w jednej sekundzie 5 kroków odbywa, a zatem 300 w jednej minucie. Gdyby koń tak był rączy w swym biegu, możnaby na nim w ciągu jednej godziny 20 mil ujechać...

Zbierajcie pieśni ludowe! Ministerstwo Wyznań i Oświaty w Wiedniu postanowiło wydać pieśni ludowe wszystkich narodów mieszkających w państwie austryackiem.

Do tej pracy powołało Ministerstwo narodowe Wydziały wykonawcze.

Do zebrania, opracowania i przygotowania do druku polskiej poezyi i muzyki ludowej, ustanowiony został w Galicyi Wydział wykonawczy pod przewodnictwem Seweryna Udzieli, c. k. inspektora szkolnego okręgowego w Podgórzu pod Krakowem.

Za obowiązek obywatelski powinniśmy poczytywać sobie dołożenie wszelkich starań, aby korzystać z nadarzającej się sposobności i przedstawić godnie wspaniałą naszą poezyę i muzyke ludową, która tylu wielkim poetom i muzykom naszym dostarczyła wątku do dzieł nieśmiertelnych.

Niechaj każdy Polak, każda Polka przyłoży rękę choćby w drobnej części do tej pracy, a wspólnemi siłami stworzymy godne nas dzieło.

Wydział wykonawczy zwraca się do wszystkich Rodaków z gorącą prośbą o pomoc i jest przekonany, że prośba ta nie pozostanie bez skutku.

Każda piosnka śpiewana przez lud, choćby najdrobniejsza, jest bardzo pożądana.

Pożądanem jest, aby każda pieśń, każda melodya spisana była na osobnej kartce, na której trzeba koniecznie napisać: 1. miejscowość, skąd pieśń lub melodya pochodzi — 2. imię i nazwisko śpiewającego, czy grającego — 3. datę zapisania pieśni czy melodyi — 4. imię i nazwisko zapisującego.

Wszelkie zapiski nadsyłać należy na ręce przewodniczącego Wydziału wykonawczego p. Seweryna Udzieli w Podgórzu pod Krakowem, który też na życzenie przeszle dokładniejsze pytania drukowane.

580 potomków. W Sand Gap, w stanie Kentucky, w Ameryce północnej, niejaka Jane Morrise skończyła w tych dniach 95 rok życia w kole 451 potomków, ogółem jednak staruszka posiada ich 580. Wyszedłszy za mąż w 15 roku życia, miała 15 dzieci, z których pozostało przy życiu 11, dalej 126 wnuków (żyjących dotychczas 79), następnie 391 prawnuków (żyjących dotychczs 317) i wreszcie 48 praprawnuków, z których znajduje się przy życiu 44.

Zagadki do nagrody.

1. Szarada.

(Nadesłał Michał Pietryka z B.)

Pierwsza z trzecią zwierz domowy,
Pierwsza z drugą to przyprawa;
Wszystko nazwisko Polaka,
Nie zaginie jego sława!

2. Łamigłówka.

(Nadesłał Franciszek Markiewicz z S.).

Pies to ma na głowie,
A cap na ogonie,
Potop miał po jednej
I po drugiej stronie.
Brak tego u wozu
Ale jest u pługa
Ma to pan i pani,
Ale nie ma sługa.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy w nagrodę piękną. oprawną książkę z obrazkami p. t. **„Skarbczyk polski"**. Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 16 b. m. Adres: **Kraków, ul. św. Tomasza l. 32, Redakcya „Roli".**

Rozwiązanie zagadek z nr. 13:

Znaczenie zagadek z nru 13 *Roli:* 1 Szarada: **masło.** 2. Zagadka: **Ewa.**

* * *

P. Piotr Lipowiak przysyła nam następujące rozwiązanie zagadek przez Maćka Bzdurę:

Jagem Maciek Bzdura, to źle jest na świecie.
Bo znowu gazyciorz zagadki nom plecie,
By człek choć we święta na wyrku nie chrapoł,
Ale se łeb łomoł, w kołtuny sie drapoł.
Gospodyni Jewa krowy słomą zywi.
To nakłoci masła jaz się kuzdy dziwi:
Za całuśki miesiąc nie pełną kwatyrkę...
Ja we święta wolę kiełbase i spyrkę!
To juz moze zgadem! Za moją mitręgę
Musi dać gazyciarz taką wielką księgę,
Co jaz od furmanki korunę dać musę,
Co na zapowiedzi ştyry roki dusę!
Abo Srul przywiezie, co ma rude icki.
Po drodze, jak wódkę powiezie z Wielicki.
Zawiese se skiełka na nosie od śklarza
I będę se cytoł, jag ksiądz z lamantarza.
Kazdy mi to przyzna, kazdy mi to powi,
Ze jaki lamantarz trza dać i Maćkowi.
Wy sie ze mnie śmiejcie gazdy i gazdzięta
Ja se mam koronę, a wy ani centa!

* * *

Udatnym wierszem rozwiązania nadesłali nadto PP.: Stanisław Uryga z Ż., Jędrzej Malinowski z Cz., Julian Ziółkowski z K., Tomasz Pasierb z S., i Józef Ralski z O., który pisze:

Siedzę dziś nad „Rolą" i tak ciągle myślę,
Jakie dać rozwiązanie do numeru tego.
Nareszcie postanawiam, że to oto wyślę:
Przedtem już zapytałem tego i owego,
Co to jest za omasta? sadło, czy wędlina?
Ten tak, ten owak twierdzi, a ja wam powiadam:
Że masło i słoma. Teraz mię zaczyna
Niepokoić zagadka. Wiem, Adam —
Ojcem rodu ludzkiego, matką Ewa będzie!
Ave zaś każą dziatkom przy piosenkach śpiewać.
Tak się kończy zagadka. Jak zawsze i wszędzie
Bywa, mogę się teraz nagrody spodziewać!

* * *

Innych rozwiązań wierszowanych mimo najszczerszych chęci ze względu na ogromny brak miejsca umieścić nie mogliśmy.

* * *

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Ks. Jan Koza z Ż., Józef Witek z S., Jan Łojek z R., Władysław Stefański z G., Michał Chmielowiec z K., Jakób Śmietana z Ł., Michał Dudek z Ś., Józefa Hirszberg z K., Władysław Moskal z H., Wojciech Bober z H.. Dawid Felczer z P., Wojciech Sendyk z P., Michał Pietryka z B , Piotr Kiczek z G., Zygmunt Bogdański z J., Jan Inglot z S., Fr. Migdał z S., Karol Baron z P.

* * *

Dwutomową powieść Z. Kowerskiej p. t. **„Bracia z wyboru"** wylosował p. **Jakób Śmietana z Ł.**

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

PP. Władysław Stefański w G.: Żądane książki już w księgarniach wyczerpane. Marki do zwrotu. — Jan Łojek w R.: Wiersze, zagadki i szarady własnego pomysłu, o ile są dobre, chętnie umieszczamy. — Michał Chmielowiec w K.: Dziękujemy za obietnicę. Nagrodę los wyznacza, a na kogo padnie, to my sami nigdy naprzód nie wiemy. — Robert Rydz w T.: List przyszedł zapóźno do 14 numeru, a w obecnym ogromny brak miejsca. Umieścimy później. — Michał Dudek w Ż.: Cieszy nas, że się *Rola* sąsiadom podoba. Staraniem naszem jest, aby coraz bardziej się podobała. Mamy też w zapasie do dalszych numerów przygotowane bardzo ładne rzeczy. — Józef Strug w L.: Dziękujemy. A możeby tak coś więcej na ten temat, jak dziś? — Franciszek Kaliński w T.: Odpowiedzieliśmy kartką korespond. — Józef Sieńczak w B.: Rozwiązania wierszem, o ile wiersz dobry, umieszczamy zawsze, chyba że miejsca braknie. Bratu Władysławowi *Rolę* wysyłamy najregularniej w krzyżowej opasce, aby więc jemu na pocztę nie przyszła, musiałaby cała przesyłka w liczbie 23 egzemplarzy, wysyłanych do tamtejszej poczty zaginąć w drodze, a to niemożliwe. Niech się brat zapyta na poczcie: komu *Rolę* jego oddają. — Józef Czerniejewski w P.: Rzeczywiście zaszła pomyłka, więc przepraszamy. — Dawid Felczer w P.: Zgadzamy się. — Józef Ralski w O.: Szarada i łamigłówka dobre, więc umieścimy. — Kazimierz Suchodolski w H.: Kalendarzy, niestety, już nie mamy, a podarki dawaliśmy tylko tym, którzy w oznaczonym czasie całoroczną prenumeratę przesłali. — Z. Bogdan w J.: W miarę miejsca zużytkujemy. Przesłana fotografia bardzo niewyraźna, więc nie da się zużytkować. Za inne fotografie z życia ludu wiejskiego, lub małomiejskiego bylibyśmy szczerze wdzięczni. — Jan Gil z Z.: Żałujemy bardzo, ale już kalendarzy nie mamy. Numera od Nowego Roku wysyłamy. — Dawid Felczer w P.: Artykulik otrzymaliśmy i umieścimy z chęcią. Dziękujemy. — Jan Trela w K.: Zaczekamy chętnie. Za życzenia tak szczeremi słowy wyrażone i za uznanie dla naszej pracy serdecznie jesteśmy wdzięczni. — Feliks Hawro w Neudorf: *Rolę* na okaz wysyłamy. Kosztuje do Niemiec rocznie 6 K, półrocznie 3 K. Gdy otrzymamy prenumeratę, będziemy regularnie wysyłać. — Waszczyszyn Józef w L.: Pańskie zagadki, jak i zagadki Józefa Kapuścińskiego będą drukowane, ale prosimy bardzo o cierpliwość, gdyż najpierw musimy drukować te, które pierwej otrzymaliśmy. Gadka o „Złotej laseczce" jest długa, więc chowamy ją do numeru większego, gdyż w zwykłym zajęłaby dużo miejsca. A i na inne powoli czas przyjdzie. — Antoni Kardysz w Ż.: Wysyłamy najregularniej w krzyżowej opasce. — Józef Maślanka w T.: Wysyłamy według podanych adresów. — Jan Konieczny w P.: Wysłaliśmy. — Szczepan Śpiewak w Cz.: Adres zmieniliśmy.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Michał Chmielowiec z K. (2 K.), Jan Götz z O. (4 K.), Andrzej Dudek z D. (4 K.), Karol Puzio z J. (2 K. 40 hal.), Piotr Kiczek z G. (2 K.), Julian Kościcki z P. (2 K.), Andrzej Safin z Ś. (2 K.), Wojciech Pierzchała z P. (4 K.), Jan Gil z Z. (4 K.), Anna Poradlik z M, (2 K.), Władysław Czopek z S. (2 K.), Józef Krukurka z K. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 5 kwietnia:

Buhaje	Kor.	150	do	245	za sztukę
Woły z paszy	„	200	„	295	„
Krowy	„	110	„	280	„
Jałówki	„	45	„	180	„
Cielęta	„	21	„	64	„
Swinie	„	168	„	180	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie 5 kwietnia:

Pszenica	Kor.	13·20	do	13·60	za 50 kg.
Żyto	„	8·55	„	8·85	„
Jęczmień	„	7·50	„	7·70	„
Owies	„	7·60	„	7·80	„
Otręby pszenne i żytnie	„	5·50	„	5·60	„

NA PODWÓRZU.

Chodźcie, dziadku, na górę to moja pani da wam chleba i parę centów.

— Akurat! będę tam na 2-gie piętro łaził po taką marnotę, niech pani sobie poszuka drugiego dziada...

DALEKIE POKREWIEŃSTWO.

— Dziwi mnie bardzo, że pan tak mało dba o swego brata.

— Proszę pana, to jest tak dalekie pokrewieństwo: aż pięć sióstr nas przedziela.

Z ŻYCIA.

Panna X. Ach, moja droga, jak ja się martwię.

Panna Y. Czego?

Panna X. Boję się, żeby mnie nie spotkało jakie zmartwienie.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.